



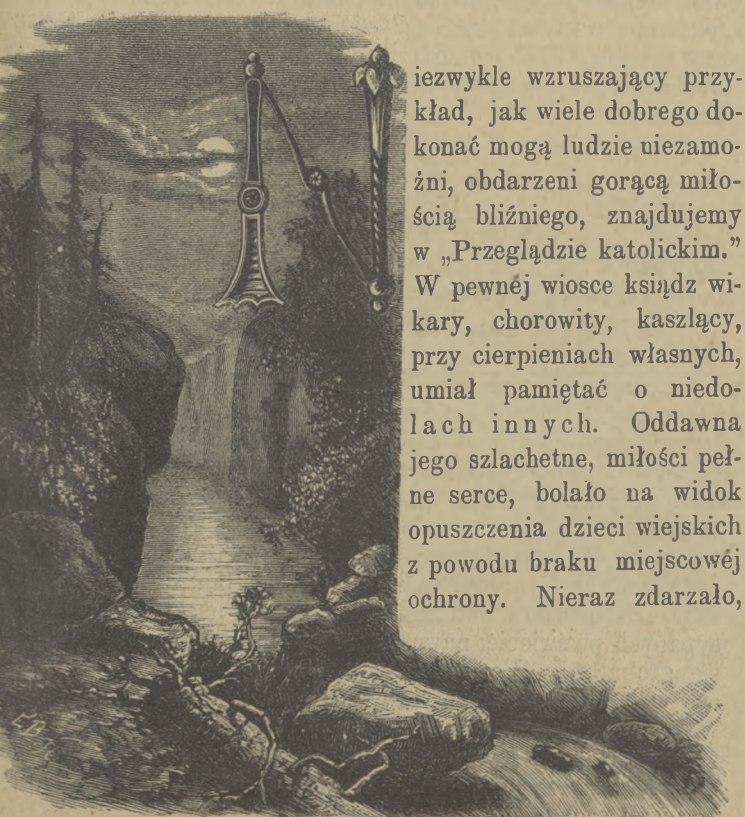
## TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biurow Redakcyi ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

### KSIĘGA PAMIĘTNYCH CZYNÓW.



niezwykle wzruszający przykład, jak wiele dobrego dokonać mogą ludzie niezamożni, obdarzeni gorącą miłością bliźniego, znajdujemy w „Przeglądzie katolickim.” W pewnej wiosce ksiądz wikary, chorowity, kaszlący, przy cierpieniach własnych, umiał pamiętać o niedolach innych. Oddawna jego szlachetne, miłości pełne serce, bolało na widok opuszczenia dzieci wiejskich z powodu braku miejscowej ochrony. Nieraz zdarzało,

jak to niestety aż nadto często po wsiach naszych bywa, że się biedactwa te topiły, truły, oparzały lub paliły, podczas gdy matki ich zajęte były robotą w polu, lub odjechały na targi, jarmarki. Nawet gdy były w domu, za dużo miały zajęć, aby mogły czuwać nad dziećmi, a te, cokolwiek odrósłszy od ziemi, włóczyły się samopas po wsi przez dzień cały, próżnując, wyrządzając szkody i wcześniej często nawykając do złego.

Ile razy zacny kapłan pomyślał o zaradzeniu złego, odstręczano go od tego, przedstawiając tysiączne trudności, a nie była to wcale przesada, gdyż w rzeczy samej dużo przeszkód pokonać było potrzeba, aby taki zamiar doprowadzić do skutku. Rozumie się, że o założeniu żłobka lub ochronki na sposób warszawski ani mogło być mowy; lecz niezrażony tem ksiądz wikary wyprosił u dziedzica obszerną salę w opuszczonej gorzelni i począł namawiać matki włościanki, aby codziennie, idąc rano do roboty, lub odjeżdżając, odprowadzały tam dziatwę na dzień cały. Umówił też jednocześnie sędziwą kobietę, niezdadną już do innej pracy, do pilnowania tego drobiazgu. Kobieta chętnie podjęła się tego jedynie za żywność, gotując bowiem dla dzieci przyniesione przez matki zapasy, kartofle, mleko, kaszę, mąkę, sama przy nich się posila.

Był to tylko początek pięknego dzieła. Zrazu nikt nie zaglądał do téj ochronki, oprócz czcigodnego kapłana opiekuna, który jak mógł pilnował pacierza, porządku, bawił się z dziatwą, o ile czas mu pozwalał. Następnie, z ciekawości



może zajrzały tam panienki ze dworu, dobry przykład na pocziwe serduszka podział, zaczęły więc powoli znosić popsute zabawki, łakocie, stare ubrania i nowo uszyte czapczki. Znalazły się z czasem i książeczki z obrazkami, dzieci pod kierunkiem młodych przewodniczek składały rączki do modlitwy, uczyły się liter, kreśliły je po piasku.

Wszystkie mieszkanki wsi zajęły się ochroną księdza wikarego, przyszła raz pani pisarzowa, potem pani wójtowa, organiścina, żony oficyalistów. Każda do pocziwego dzieła starała się przyłożyć wedle możliwości. Sami włościanie, zrozumiawszy pożytek swój dziatwy, ofiarowali się izbę wyporządzić, wybielić, na zimę zwieźć drzewa na opał, a nawet w końcu postanowili płacić po trzy grosze z morgi na utrzymanie lepszej dozorczyńni. Jakaż to pociecha dla czcigodnego kapłana, patrzącego na owoce swój pożytecznej pracy.

## LIST ZE WSI.

Mile towarzyszk! Cóż wy na to? Wyglądacie zapewne listu z Warszawy, a w nim odpowiedzi na wasze odezwy do Gołąbki pocztowej, ku wielkiej radości mojej nadchodzącej coraz częściej, tymczasem Gołąbka odpisuje wam ze wsi. Zadna, spodziewam się, nie weźmie mi za złe tego, żem wyfrunęła na świeże powietrze; toż w tej porze nawet najuboższa dziatwa, dzięki miłosiernym ludziom, wyrusza na kolonie letnie, czemużbym i ja nie miała opuścić na kilka tygodni murów miejskich? O czymże zresztą pisałabym do was obecnie z Warszawy? Wiem z dzienników, że narzekano tam na długie, nudne słoty, gdy deszcz ustanie, będą znów narzekali na kurz i upały.

Z nowin warszawskich jedna mię tylko zajmowała, mianowicie wyjazd biednych dzieci na kolonie letnie. Nie widziałam tego, lecz od świadków naocznych słyszałam, co to za rozrzucający był widok. Niebożęta, które nigdy w życiu może nie oglądały na własne oczy prawdziwego lasu, prawdziwej łąki, miały tej rozkoszy zakosztować po raz pierwszy; wsiadały też do wagonów z taką radością, z takim zachwyceniem, że patrząc od łez powstrzymać się nie mogli. Znana poetka p. Knonopnicka, pod wpływem tego wrażenia, napisała prześliczny wiersz, który znacie zapewne wszyscy, a może i na pamięć umiecie. Dzięki Bogu i nasze odezwy znalazły odzwiek w serduszkach wielu, i w redakcyi „Wieczorów” zebrano sporą sumkę, która niejednemu biedactwu dopomogła wydobyć się z „piwnicznej izby” na świeże powietrze. Kto dotychczas z datkiem się ościagał, niech przyśle teraz, co może, choćby parę groszy, jeszcze pora.

Nie sądzicie, towarzyszko kochane, że ja tu na wsi, używając letnich przyjemności, nie myślę o was, o odpowiedzi, należącój się wam za liczne, tak serdeczne liściki. Cała wiązanka leży przedemną w tej chwili, przysłano je z redakcyi naszej i obiecane list mój, chociażby dłuższy trochę, niezwłocznie wydrukować. I otóż najpierw wpadł mi w oczy liścik Wisienki z nad Sobu, a wyrazy jój, pełne serdeczności i prostoty, od razu pochwyciły mię za serce. Wspominasz Wisienko o wypracowaniu konkursowem, wymieniasz przedmiot jego, stosowny bardzo, sądząc zaś z liściku, musiałaś go porządnie opracować. Byłaby to wielka niesprawiedliwość z mojej strony, gdybym tego wypracowania nie policzyła do lepszych, a jednak... w sprawozdaniu ani słówka nie powiedziałam o niem.

Zaraz ci wyjaśnię powód, Wisienko moja luba. Pomińmo zastrzeżeń jak najwyraźniejszych, pomimo próśb, przy każdym konkursie powtarzanych, kochane, lecz roztargnione wielce panienki, nie pilnują się warunków, w których redakcyja wymaga, ażeby pseudonym, podpis prawdziwy z adresem i lata wypisane były na samem wypracowaniu, a nie w liściku osobnym lub na karteczce. Otóż ty, Wisienko, wszystko to

wypisujesz w liście do mnie, więc wypracowanie musiało być bez podpisu, a zatem... poszło do kosza, do rąk moich się nie dostało. Żal mi niezmiernie, że pierwszy krok tak życzliwy, przyjazny, którym zbliżyć się chciałaś do mnie, wypadł tak nieszczęśliwie. Ale zastanów się tylko, czy może być inaczej?

Nietylko nad Wisłą, Bugiem, Sobem, lecz nad Sekwaną i Tamizą nawet mają nasze „Wieczory” czytelników i czytelniczki. Nie wszyscy wprawdzie korespondują z redakcyą i do konkursów należą, zawsze jednak liściki, wypracowania, dochodzą setkami. Gdyby się w tem nie utrzymywało ściśle porządku, niepodobnaby sobie dać rady. Zaraz tedy po otwarciu koperty następuje klasyfikacya: liściki do „Kochanej pani” składają się w osobnej szufladce, do Gołąbki znowu w osobnej, wypracowania, łamigłówek, mają także swoje właściwe komórki. Piszac sprawozdanie, wyjęłam z biurka kochanej pani wszystkie wypracowania, złożone tam najporządniej, nie zaglądając przytem, rozumie się, do innych skrytek i nie odczytując liścików. Wypracowania bez podpisu sama kochana pani wrzucała do kosza, nie zważając na moje westchnienia. Pamiętam nawet, że jedno wyratowałam, w samą porę przypomniałam sobie poprzedni liścik piszącej, w którym lata wymieniała. Lecz twoje nie miało pewnie ani śladu podpisu, nieprawdaż, Wisienko miła? wypisałaś natomiast wszystko w liściku, a ten dopiero dziś mi nadesłano.

Nie zrażaj się tem, Wisienko, nie zrywaj korespondencyi i na następny konkurs uważniej przygotuj wypracowanie. Bierz przykład z Palmy, oto co się Palmie wydarzyło: napisała odpowiedź na zadanie konkursowe, ale pierwszy raz jój się nie udało i szanowny poprzednik mój Kazio wysmiał ją w sprawozdaniu; (co mu się w każdym razie nie chwali). Wyobraź sobie, Palma nie obraziła się wcale, ale postanowiła na każdy konkurs posyłać wypracowania, póki nie otrzyma nagrody. I cóż powiesz! już postawiła na swoim, nagrodę otrzymała. Szkoda, że się z opowiadaniem tem opóźniła, bo to wyborny wzór silnej woli.

Kanarek, miła jakaś ptaszyna, widocznie młodzieuchna i niedoświadczona, pisze mi, że nie lubi myśleć długo nad niczem i dlatego to zadanie moje wydało jój się zatrudne. Oj, Kanareczku, jabym to i sama odgadła, że zastanawiać się jeszcze nie umiesz; oto np. dodajesz: „Kochana Pani powie ci, ile mam lat, bo jój to kiedyś donosiłam”. Rozśmiała się na to serdecznie Kochana pani, bo czyż podobna, ażeby ona zapamiętać mogła imiona i lata wszystkich korespondentek, które na setki się liczą? Dlatego to właśnie, jak tłómaczyłam powyżej Wisience z nad Sobu, przy każdym wypracowaniu należy wypisywać dokładnie wszystko wedle warunków konkursu.

Odezwa twoja, droga Sarenko z nad Morocz, napelnia mię radością i dumą; powiadasz, że wymiana myśli ze mną przez „Wieczory” zastąpi ci nawet po części niemożność należenia do konkursów, z których już wyrosłaś, biedaczko, tak samo, jak i ja. Na zakończenie powiodło ci się nieźle, posłałam ci też nagrodę, jakiej sama chciałaś, czy doszła?

O tak, tak, Sarenko, układajmy plany, poważnie myślimy o przyszłości, niechaj echo roznosi po wszystkich zakątkach kraju słowa nasze, budząc w sercach współtowarzyszek jednoznaczne dążności i energią do czynu. Oto właśnie i siostrzyczka twoja z inną okolicy kraju, Sarneczka z nad Sanu, poklask ci daje, podziela zdanie twoje, że „Wieczory” nasze dużo pożytku przynieść mogą, łącząc korespondentów jakby w jedną rodzinę, pozwalając im myśli swoje wypowiadać szczerze. W rzeczy samej, najgorętszem to jest pragnieniem redakcyi naszej, aby Pisemko stało się, jak pięknie to wyrażasz, Sarneczko z nad Sanu, łącznikiem naszych dzieci, rozsypanych po świecie, nawet nad Sekwaną i Tamizą. Zgadza się z tobą, miła Sarneczko, że można pracować na wsi, o ile siły starczą, nie przebierając się koniecznie dlatego w strój wieśniaczek. Aż mi ślinka szła do ust, czytając o tej niesłychanej mnogości owoców, które wy sobie zajadacie z takim smakiem przez cały okrągły rok, nie dopuszczając Icków i Moszków do tych smakołyków.



Smutno mi się zrobiło, o Niezabudko czeska, gdy czytałam w liściku twoim, który mi pokazała Kochana Pani, że mnie za nieznajomą uważasz i nie masz ochoty donieść o różnych rzeczach ciekawych! Jakto, Niezabudko miła, Gołąbka pocztowa miałaby być nieznajomą dla którejkolwiek czytelniczki naszego Pisemka? Gołąbka, „prawa ręka Kochanej Pani”, bo wystaw sobie, jak zaszczytną nazwę otrzymałam w redakcyi. Kochana Pani ubolewa nad tem niezmieranie, że w „Skrzynce do listów” tak mało jest miejsca na odpowiedzi i powiedziała niedawno: „Ale ty mnie zastąpisz, wierna ptaszyno, będziesz im odpisywała obszerniej, staniesz się moją prawą ręką.” Liczę na ciebie, Niezabudko czeska, opisz mi dokładnie okolicę, w której spędzasz wakacje, stosunki miejscowe, lud wiejski; pewnie ztąd wyciągnę niejeden szczegół pożyteczny dla reszty czytelników.

Szanowny Sokole z nad Narwi! Co to ma znaczyć? oskarżasz mnie w redakcyi, że na cenne twoje odezwy nie odpowiadam, a ja nigdy, przenigdy ani słoweczka od ciebie nie otrzymałam. To ci tylko powiem, cny Sokole, że jakkolwiek współtowarzyszkom paniąkom odpowiadam gorliwie, jednak listy młodzieży męskiej cenię tak wysoko, tak wysoko... wolę przerwać, bo gotowi zbyt wygórowane wyobrażenia wykreślić w redakcyi. Biedny Sokole! chorowałeś, i to ciężko; niezmieranie się cieszę, że to szczęśliwie przeminęło i jestem pewna, że się z czasem zaprzyjaźnimy.

Jedlinka bardzo ładnie i porządnie pisze, czemuż nie pamięta o uwagach, podanych w Pisemku naszym o „Błędach języka” i pisze *poselać*, zamiast *posyłać*, jak być powinno? Wszakże nie pogniewasz się na mnie za tę uwagę, Jedlinko droga, tyle osób starszych i poprawnie zresztą piszących upiera się przy tej pisowni, ale my póty nie przestaniemy wołać i nawoływać, póki korespondentki nasze jej nie zarzucają. Rozsądna i miła Palma prosi mię, abym jej wskazywała błędy, gdybym dopatrzyła jaki w liściku i nie omieszkam tego uczynić, lecz teraz nie było żadnego, szukałyśmy obie z Kochaną Panią. Gramatyka polska z tego powodu trudniejsza jest od francuskiej i innych cudzoziemskich, że nie ma ustalonych prawideł. W jednej gramatyce każą tak pisać, w drugiej inaczej, w trzeciej jeszcze inaczej. Jakże tu zgadnąć, co lepiej? No, ale w żadnej gramatyce, w żadnym słowniku nie znajdziemy pisowni *poselać*, wytworzył ją tylko zły zwyczaj, wielce rozpowszechniony.

Polka Mazurka pyta, kto pierwszy w kraju naszym wydawać zaczął czasopismo dla młodzieży. O ile mi się zdaje, Stanisław Jachowicz; on też w dzienniczku swoim prowadził z czytelnikami ożywioną korespondencją i układał dla nich konkursowe zadania, do naszych podobne. Słynna autorka, Eleonora Ziemięcka, pisywała dzieckiem będąc od owego dzienniczka i już wówczas okazywała talent niepospolity. Polka Mazurka inną ważną kwestyą podnosi, powiada słusznie bardzo, że nigdy nie należy nawet i w części redakcyi w błąd wprowadzać, przysyłając zadania konkursowe, pisane z pomocą starszych. Ze tak bywa niekiedy, szczęściem rzadko, mamy na to dowody. Paniąki nie czynią tego w złej myśli, tylko przez brak zastanowienia. Gdyby chciały pomyśleć i nazwać rzecz po imieniu, brzydko bardzo... niechęć tu przytaczać tak wstrętnego, szkaradnego wyrazu, gdyby je kto przestrzegł, wyrzekłyby się niezawodnie tak hańbiącej nagrody.

Redakcyja bywa czasem z tego powodu w okropnym kłopotcie, nadchodzi np. odpowiedź podpisana przez dziesięcioletnią dziewczynkę; odpowiedź arcydziełem nie jest, lecz zawiera myśli, wyrażenia, które nie mogły w żaden sposób zbudzić się w dziesięcioletniej, choćby najroztropniejszej główce. Łatwo odgadnąć, że to się stało prawie „niechcący”, jak to mówią; nauczycielka odczytała brulion, tu i owdzie poprzekreślała, gdzieś poddała nowy pomysł, przepisało się i zapominało, jakim sposobem z brulionu powstało coś całkiem innego. Postanowiła też odtąd redakcyja nasza do warunków dawniejszych dodać jeden jeszcze, mianowicie, aby rodzice lub ktoś z nauczycieli zaświadczył podpisem, że wypracowanie bez żadnej pomocy było napisane. Tak brzyd-

kiego kłamstwa nikt już chyba nie popełni, nie zaświadczy fałszywie. Zwyczaj ten zaprowadzony jest w jednym z najlepszych Pism angielskich dla młodzieży, gdzie podają także zadania konkursowe z nagrodami.

Bardzo ci jestem wdzięczna, kochana Jaskółko z nad Sekwany za opis zwyczajów na waszjej pensyi paryskiej; szkoda, że taki króciutki, ale i to zapewne zajmie czytelniczki nasze. „Wyobraź sobie, pisze Jaskółeczka, że na pensyi ubieramy się w święta w strój krakowski; o toż chciałabym zapytać, czy konieczny jest wianek na głowie?” (Nie potrafię odpowiedzieć na pewno, może Krakowianka rozstrzygnie kwestyą. przyp. Goł. poczt.) „Za miesiąc przystąpię do egzaminu, o, jakże się boję! Egzamin to niższego stopnia, ale dostaje się zań tak zwane *brevet*, a bez tego nie można złożyć drugiego egzaminu. Pensya ta jest w Hotel Lambert, na drugim końcu Paryża, od naszego mieszkania, całą godzinę jedzie się omnibusem. Są tam uczennice urodzone jak ja, we Francyi, inne przybyłe z Polski. Co czwartek mamy lekcję języka polskiego i literatury polskiej. Uczymy się także tańczyć mazura i krakowiaka. Mazur bardzo mi się podoba, lubię patrzeć, jak tańczą krakowiaka, ale dotychczas nie odważyłam się brać w nim udziału.”

Mam nadzieję, że Brzydotka z nad Tamizy opíše mi z kolei swoje nauki w Londynie.

Iskierko Lubelska! Krótkie są twoje liściki, lecz miłe i serdeczne niezmieranie. Dla ubogich pamiętaj to, Iskierko, lepiej zawsze przysłać choćby parę groszy, jeżeli się więcej nie ma, aniżeli nic. Z groszy składają się ruble, a przenieszone ubranie niejednemu biedakowi się przyda. Żebyś wiedziała, ile dobrego się robi w redakcyi naszej z tych drobnych datków i zniszczonych prawie sukienek. Nędza nie przebiera. Ucieszyłaś mnie bardzo obietnicą przysłania fotografii, dotrzymaj tylko słowa.

— O ty, którą zwać będę Jedynaczką, gdyż taki pseudonym z narady ogólnej ci wybrano, bo Terkotka należy już do innej paniąki, reszta zaś podanych do wyboru jakoś za nadto wydały się nam dziwaczne; jakżebyś pragnęła przez listy przynajmniej zapoznać się z tobą bliżej, chociaż i tak nie jesteś wcale dla mnie nieznaną. Wyrobiłam sobie nawet w wyobraźni obraz twojej kochanej osóбки, ale czy podobny? Przekonałabym się o tem, gdybyś chciała nam przysłać swoją podobiznę, a podobno kiedyś już przyrzekałaś ją Kochanej Pani, która z największą radością przyjmuje takie dary, ma już zbiorek liczny fotografii i często je przegląda, wyobrażając sobie, że ją otacza liczna rodzina, rozproszona po świecie, bo ona was wszystkie tak serdecznie kocha. Gdyby ci się niebył podobiał pseudonym Jedynaczki, możesz go zmienić w każdej chwili. Czy chcesz być Kozicą lub Gemzą? Co do twojej „Prozy i Poezyi”, odczytałam ją, lecz niestety, wytłumaczono mi w redakcyi, że do zagadek tego rodzaju wybiera się zwykle piękne, klasyczne poezye. Nie obrazisz się przecież za to, że twoje do tego rzędu policzone być nie mogą. Ukłóć coś innego, kochaneczko moja, ja tymczasem wymyślę w zamian jakąś łamigłówkę dla ciebie; czasem mi się udają nawet wierszowane, nie klasyczne wprawdzie, do tego nie mam pretensyi, ale takie, co to „ujdą”, jak mówią.

Mój Boże, jabym tu gawędziła z wami bez końca, mam jeszcze najpyszniejsze pomysły o gospodarstwie kobiecem na wsi, ale muszę to na drugi raz odłożyć; wy tymczasem, towarzyski najmiłsze, rozproszone po świecie, donoście mi ciekawe i zajmujące wiadomości, które na zaznaczenie zasługują: szczegóły z życia i obyczajów ludu w różnych okolicach kraju, o dzieciach zwłaszcza, o ich zajęciach, rozrywkach, donoście wszystko, co tylko uwagę waszą zwróci, my to razem z Kochaną panią uporządkujemy i wybierzemy pewnie mnóstwo szczegółów ciekawych.

Trzeba kończyć, chociaż pozwolono mi długi list napisać, a to z tej przyczyny, że latem, w tak zwaną porę ogórkową, czytelnicy są mniej wybredni i wszystko czytać gotowi (uważajcie, jakie to pochlebne dla mnie i listów moich!) nie można wszakże nadużywać uprzejmości redakcyi. Do widzenia, towarzyski najdroższe, wkrótce znowu zapewne



odbiorę sporą paczkę waszych liścików kochanych z pozwoleniem odpisania na nie.

Polecam się przyjaźni waszej, życzliwa i kochająca  
Gołąbka Poczta.

nie zaprężonego omnibusu i powieziono nas dosyć szybko po dobrej drodze, pięć wiorst dłużej. Z początku wiedzie przez pola, urodzajne widocznie, bo piękną można było na nich podziwiać pszenicę, okolica falista lekko, z widniejącymi łaskami na wzgórzach, ładnie się przedstawia; mija się fol-



Coraz cieplej słońko świeci,  
Mija wiosna, po niej lato  
Stroi się stubarwną szatą,  
Bujne życie wszędzie nieci.

\* \* \*

Rolnik skrzętnie zbiera plony,  
Dzwonią sierpy, dzwonią kosy  
Wśród porannych blasków rosy,  
Puste staną wnet zagony.

\* \* \*

Gdy przeminą letnie skwary,  
Przyjdzie jesień, przyjdzie zima,  
Lecz rolnik obawy niema,  
W porę Boże zebrał dary.

\* \* \*

O! pomnijcie w życia wiosnie,  
Że młodość to wasze żniwo,  
A nauka żyzną niwą,  
Z której dla was plon urośnie

J. P.

## WSPOMNIENIA Z WAKACYJ,

Z DZIENNIKA MŁODEJ DZIEWCZYN,

spisała Br. Kuczyńska.

(Dalszy ciąg).

### Nałęczów i jego okolice.

Małą godzinkę jedzie się z Puław do Nałęczowa, a że osób było niewiele, bo zjazd dopiero na jutro był zapowiedziany, więc prędko wsiedliśmy do wytwornego, w cztery ko-

wark Antokol, już należący do gospodarstwa nałęczowskiego, następnie przejeżdżaliśmy przez wieś Bohotnicę, kościelną nazwaną, zapewne dla odróżnienia, od tamtej, pod Kazimierzem.

Sliczny biały z czerwonym dachem kościółek, na dość wysokim pagórku, prześlicznie się rysuje na tle nieba, za nim tuż prawie zaczyna się już miejscowość lecznicza Nałęczów, co zaraz można poznać, po przepysznej lipowo-topolowej alei, przy której ukazują się ozdobne wille, wynajmowane tym, którzy nie chcą lub nie mogą mieścić się w samym zakładzie. Powabnie wyglądają te różnej struktury domy, otoczenie z drzew przy każdym z nich widać, tylko zieleni jeszcze niewiele, ponieważ drzewka wszędzie niedawno zasadzone.



Nadzwyczaj miłe wrażenie sprawił na nas Nałęczów; dość jeszcze było widno, bo o tój porze dni są długie, pogoda prześliczna, więc bardzo wiele osób powracało z przechadzki. Woźnica zwolnił biegu, aby kurzu nie podnosić, bo takie tu są higieniczne przepisy a my rade z tego, przyglądałyśmy się, i domom, i osobom. Panowie nasi kłaniali się, ponieważ

Zapatrzenie się nasze w tę stronę zwróciło uwagę ojczulka, spojrzał więc także i natychmiast zdjął kapelusz na znak powitania, a do mnie szepnął: „Patrz, Wandeczko, na tę, której głosu jutro z zachwytem słuchać będziemy”. Domyśliłam się, że ta pani z rodziną być musi i przypatrywałam się jeszcze była chętnie, bo dziwnie miła i rozumna



Wybrzeża Nilu.

dostreśli znajomych, a gdy dojeżdżaliśmy do bramy, zamykającej wejście do parku i przejeżdżaliśmy tuż obok, spotrzelaliśmy gromadkę osób, która mnie i Bronię bardzo zainteresowała, bo znajdowały się wśród niej dwie małe śliczne dziewczynki. Obie lubimy bardzo dzieci, więc przypatrywałyśmy się ożywionym ich buziom i zręcznym ruchom. Biegły, następnie zatrzymały się, posłuszne głosowi mateczki, która szła tuż za nimi wraz z ojcem i chciała przeczekać przejazd omnibusu. Nadzwyczajnie podobali mi się wszyscy składający tę gromadkę, a prócz tych czterech osób, była jeszcze sędziwa babunia z bardzo sympatyczną twarzą i piasunka, wioząca w wózek śliczne też maleństwo.

mi się twarz jej wydała, ale woźnica, korzystając z tego, iż wjechał na drogę, którą nikt nie szedł, zaciął konie i nawet obejrzeć się nie mogłam, bo zakręt był w tem miejscu.

Za chwilę wjechaliśmy w obręb parku, boczną bramą, zwykle za wjazd służącą i omnibus zatrzymał się przed „Zakładem hydropatycznym”, dwupiętrowym budynkiem, mieszczącym w sobie wszelkiego rodzaju przyrządy do kuracyi zimną wodą. Stoi on w niewielkiej odległości od stawu, po którym uwijało się kilka czołen z gośćmi, używającemi tój przyjemności. Zakład cały był przepełniony, więc przeprowadzono nas do pałacu, gdzie są także pokoje dla przyjezdnych.



Pałac na lekkim wzniesieniu zbudowany przedstawia się wspaniale. Budowa dawna, czworokątna, dwupiętrowa z wieżyczką z boku, założona była przez Małachowskich, do których kiedyś to wszystko należało. Zniesiono nasze rzeczy na górę, my zaś prosiliśmy, aby nam pozwolono jeszcze park przebiec dzisiaj, a że zamiast słońca księżyc się już ukazał, więc przy jego blasku odbyła się ta wycieczka. Park nie imponuje wprawdzie obszarem, ale za to ma kilka alei ze starych drzew, w których podczas upałów miło i chłodno być musi. Obszerny staw, ten sam, o którym już wspomniałam, mieści się w jego obrębie. Za parkiem jest folwark prywatny z ogrodem warzywnym i owocowym. Po drugiej stronie zakładu, na wywyższeniu, zwanem górą armatnią, widać kilka pięknych i obszernych willi; z tych najbardziej zaimponowała nam „Ukraina” wielkością swą i jasnym kolorem.

Miałam wielką ochotę przechadzać się dłużej jeszcze, ale ojczulek postawił weto, bo się obawiał zmęczenia i zanieczyszczenia; trzeba więc było spać się położyć, choć wieczór był ciepły, jasny i cichy. Za to nazajutrz już o godzinie siódmej byliśmy na nogach i nawet kwadrans cały musieliśmy czekać na resztę towarzystwa, na werendzie, która ciągnie się wzdłuż jednej ściany pałacowej; z tamtej też strony mieści się kancelarya, gdzie zapisują się goście przyjezdni i kupują sobie bilety na kuracyę. Muzyka grała od chwili właśnie, gdyśmy zeszły, widocznie więc zaczynają grać o siódmej.

Panowie zdziwieni byli naszym rannem wstaniem, lecz nie pozwoliliśmy im długo nad tem rozprawiać, lecz zaraz bez śniadania nawet pociągnęliśmy ich na spacer w wąwozy, o których malarz L. wczoraj wspominał, iż są widzenia warte. Przeszedłszy przez park, około kumysarni, w której i kefir sprzedają, a następnie koło łazienek z żelazem i błotnemi kąpielami, wydostaliśmy się na drogę, wiodącą w bok pod górę armatnią, a wprost do wioski Charzy i do miasteczka Wąwolnicy. Wąwozy owe znajdują się u stóp tej góry, tam więc skierowałyśmy nasze kroki. Chcąc się tam dostać, trzeba wejść na najwyższe wzniesienie około prześlicznej i przepysznie różnemi szczegółami krzewami ocienionej willi pani doktorowej B., następnie wzdłuż jej ogrodu prowadzi droga na sam szczyt, z którego na cały Nałęczów widok najpiękniejszy, bo i rozległy i urozmaicony.

Wszystkie wille widać jak na dłoni, kościółek na czystem tle nieba rysował się wyraźnie i podnosił malowniczość widoku, cała okolica poprzerynana dolinami i wzgórzami lesistemi, a wśród nich często przewija się rzeka Charzówka. Dźwięki muzyki wybornie dochodziły uszu naszych, a przewijające się różnobarwne postacie dodawały jeszcze różności. Zapewne w porównaniu z górskimi krajobrazami, okolica ta nie wygląda zbyt okazale, ale każdemu podobać się musi. Wąwozów jest trzy, zeszliśmy tylko do jednego, w którym porobiono ścieżki wygodne; mimo więc rosy można było doskonale przejść przez całą jego długość, zaciśnie tam zawsze być musi, bo mnóstwo drzew rośnie, a przytem takie zagłębienia gruntu zawsze są od wichrów zabezpieczone.

Nabiegawszy się z góry na dół do woli, z takim apetytem stawiliśmy się na śniadanie, że wszystko nam smakowało. Pieczywo wydało nam się tak doskonałe jak nigdzie, nie należy tego jednak wyłącznie temu apetytowi przypisywać, bo i później nie zmieniliśmy o niem dobrego wyobrażenia. Dwie wycieczki były zamierzone na dzień dzisiejszy; rano do Wojciechowa, a po obiedzie do Celejowa, na godzinę siódmą potrzeba nam było wrócić, ponieważ koncert miał się odbyć o godzinie ósmej.

Panowie zajęli się najęciem koni, które o dziewiątej miały być gotowe. Prócz nas i przypadkowych towarzyszy, jechała także koleżanka nasza z bratem; spotkaliśmy ich tu niespodzianie i do tej wycieczki namówili. Gdyśmy kończyli śniadanie, przed pałacem zajeżdżał wielki wóz drabiniały z czterema koniami zaprzężonymi z kilku siedzeniami urządzonego wygodnie i dywanami przykrytymi. Łatwo było domyślić się, że to nasz ekwipaż, bo nikt jakoś tego dnia nigdzie się nie wybierał. Wielka była uciecha nas wszystkich młodych, że w taki sposób pojedziemy. W jednej chwili siedzieliśmy już

na wozie, bo nie chcieliśmy czasu tracić, mając go tak niewiele do rozporządzenia.

W Wojciechowie byliśmy przed dziesiątą jeszcze; zdawało się, że można widzieć wieżę wysoką, dość zniszczoną, ale silnie zbudowaną i opatrzoną otworami wązkiemi, przypominającymi strzelnice. O wieży tej mówią różnie: jedni twierdzą, iż jest pozostałością z aryańskiej świątyni, drudzy, że to część obronnego zamku, stojącego tu niegdyś. Jedno i drugie może być prawdą, ponieważ arianie, obawiając się prześladowań, zawsze silnie obwarowywali miejsca swych modłów i zborów. Bardzo malowniczo wygląda ten odłamek dawnych murów, na dość dużej przestrzeni wieża ta jest płotem otoczona, gdyśmy zapytywały właśnie, jaki może być cel tego ogrodzenia, w ślicznych, zręcznych podskokach wysunęło się z ukrycia kilka sarenek, przełożyły łebki przez ogrodzenie i przyglądały się nam ciekawie. Ponieważ każdy z nas w przewidywaniu głodu zaopatrzył się w przekąskę jakąś, więc naturalnie Bronia, ja i koleżanka nasza zaraz poświęciliśmy swoje bułeczki dla tych ślicznych zwierzątek. Otrzymałyśmy za to nazwę „niepraktycznych”, ale nie zważałyśmy na to wcale, z wielką przyjemnością patrząc na zręczne ruchy sarenek i chwytanie w łot rzucanych kawałków bułki.

(d. c. n.).

## Wybrzeże Nilu.

Żadna w świecie rzeka nie ma dla ziemi, przez którą przepływa i dla jej mieszkańców tak wielkiego znaczenia, jak Nil w Egipcie. Czytelnicy nasi wszyscy zapewne uczyli się już historii starożytnej, wiedzą zatem, iż ta rzeka czczona była za czasów Faraonów, gdyż nadprzyrodzone przypisywano jej własności. W Egipcie prawie nigdy deszcz nie pada, kraina ta byłaby spiekłą pustynią, jak Sahara, gdyby Nil nie zlewał jej rokrocznie wezbranemi swemi wodami i nie pokrywał gruntów urodzajnym mułem.

Starożytni Egipcjanie nie mogli pojąć, skąd pochodzą te powodzie, zawsze o jednej porze powtarzające się w każdym roku, uważali to za jakąś cudowną, niezgłębianą tajemnicę. Dziś już wiadomo, że rzeka przybiera poprostu w skutek obfitych deszczów, spadających zawsze w tej samej porze roku w okolicy górzystej, którą Nil przepływa nim się do Egiptu dostanie. Dwa główne jego ramiona, Nil błękitny i Nil biały, zlewają się w jedno wspólne koryto i tworzą wspaniałą rzekę, której Egipcjanie cześć oddawali.

Jeszcze Faraonowie dawni umieli sztucznymi sposobami wylewy Nilu miarkować i utrzymywać w porządku. Nadmiar wód zbierano w studnie i kanały, następnie zaś za pomocą umiejętnej irygacji rozprowadzano po polach uprawnych. I dziś, po upływie tylu wieków, gdy wszystko w Egipcie odmienną przybrało postać, gdy z dawniej jego wielkości zaledwie szczątki zniszczone i gruzy pozostały, w zjawiskach przyrody nie zaszła żadna zmiana. Nil wzbiera tak samo, jak i dawniej, użyźnia grunta bez względu na to, kto je zasiewa i plony zbiera, a mieszkańcy utrzymują na wybrzeżach rzeki różne sztuczne zbiorniki wód nadmiernych. Jedną z takich studni, zwaną w języku teraźniejszych krajowców, Fellahów, „szaduf”, przedstawia nasza rycina. Zebrana tam podczas wylewu woda wylewa się następnie za pomocą mechanicznego przyrządu do kanału, ztamtąd przeprowadza się dalej na uprawne niwy.

## GWIAZDA SUDANU.

PRZYGODY PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE ŚRODKOWEJ.

(Dalszy ciąg).

Ale nasz Imestan marzył zapewne o sławie, o świetnem zwycięstwie, pragnął, ażeby wieści o czynach jego bohater-  
skich doszły nie tylko do Timbaktu, lecz do rezydencji sułta-



na w Hamd-Allahi. Niechby przynajmniej przyznano, że wybór innego timbuktukoją był myłką ze strony szejka, że on jeden, piękny rozynek, godny był to dostojęństwo piasłować.

I otóż z tego czy innego powodu Imestan wydał rozkaz, aby oddział jego gotował się niezwłocznie do ataku wojsk Auelimidenów. By pobudzić zapał Fulańów, kazał ich ucześnie stawiać orzechami „kola”. Nieduże drzewko, zatwar afrykański, *sterculia acuminata*, wydające ten owoc, z powierzchowności do kasztana podobny, nic w sobie nie ma osobliwego; lecz ziarno to niepospolitej sławy używa w całej Afryce, ma bowiem szczególne własności pobudzające, nakształt amerykańskiej „koki”. Uraczywszy żołnierzy kolą, Imestan kazał wielbłądy napoić obficie wodą, a następnie nakarmić daktylami. Stary Itarel przestrzegał go, że wielką popełnia nieroztropność, ale zarozumiały młodzik nie zważał na to wcale.

Rozpoczęła się walka. Zrazu piechota fulańska stała dzielnie, trzymając się w ścięśnionych szeregach i gradem kul zasypując nieprzyjaciela. Popłoch powstał wśród Auelimidenów, zdawało się nawet, iż zaczynają się cofać. Wnet jednak zmieniła się postać rzeczy. Na drobne kule strzelb skałkowych odpowiedziały armatnie, całkiem innego kalibru i trwoga przejęła tak zapalczywych przed chwilą Fulańów. Nieprzyjaciel miał artylerję, czego nie dostrzeżono na razie.

Położenie stawało się coraz okropniejsze. Na chwilę groza przeszła w śmieszność. Samiec przewodnik gromadki małp, ów okazały dobosz w chińskim kapeluszu, padł, ugodzony granatem. Samice wszystkie potraciły głowy; w największym nieładzie poskoczyły do swoich przyjaciół żołnierzy, czepiały się ich, obejmowały za szyję z piskiem szalonym; jak tonący chwyta zazwyczaj obrońcę z konwulsyjną siłą, obezwładniając go tym sposobem i pociągając za sobą, tak one nieszczęśliwych żołnierzy ścisnęły w objęciach czterech swoich rąk, nie pozwalając im się poruszyć. Niejeden żołnierz, nawpół uduszony, padał nieprzytomny na ziemię, inni nadaremnie usiłowali się wyrwać z objęć swych wiernych karmicielek, powstało zamieszanie, zamęt nie do opisania.

Nieroztropny wódz chciał się ratować wysyłając z kolei do ataku dzielną jazdę. Niestety! kopijnicy z plemienia Kell-Ulli gotowi byli z narażeniem życia rzucić się na nieprzyjaciela, lecz nowa przeszkoda ich powstrzymała w zapale. Wielbłądy wojenne przedstawiały dziwny niepojęty widok; były śpiące, wzrok miały błędny, nogi pod niemi się chwiały, niektóre potykały się na gładkiej drodze i padały wraz z jeźdźcami.

Stary Itarel płakał z rozpacz!

## XII.

### Skutki upojenia wielbłądów.

Teraz dopiero Imestan przestraszony pomyślał o odwrocie, wydał stosowne rozkazy i oddział cały w nieładzie okropnym cofać się zaczął. Po przybyciu do Timbukt obliczono straty; były bardzo znaczne.

Nazajutrz po tym dniu tak smutnej pamięci ambulans mój zapełniony był rannymi, a pomiędzy nimi znajdował się młody „rozynek” Sadaktu, który dowodził piechotą Fulańów w owej nieszczęsnej walce. Teraz nie skarżyłem się na bezczynność, niemało miałem roboty, nim opatrzyłem wszystkich moich pacjentów. Musiałem też wykonać niejedną operacyę chirurgiczną, nie brakło tam bowiem rąk i nóg pogruchotanych. Sala, wczoraj jeszcze cicha i samotna, dziś już na prawdziwy szpital wyglądała.

Pocziwy Karol był mi wielką pomocą: gdy szło o niesienie ulgi cierpiącym, serce jego zastępowało roztropność, nigdy w życiu nie napotkałem lepszego posługacza szpitalnego. P. Katarzyna i p. Gudula poświęciły się całkowicie pielęgowaniu chorych, a sprawiły się tak wybornie, jakby prawdziwe Siostry Miłosierdzia. Przejęty byłem uwolbieniem dla tych zacnych kobiet. Co do wujaszka Baka, ten

nie mieszał się do niczego, zbierał rośliny i układał je w zielniku.

Już załatwiłem się z opatrunkami i byłem nieco swobodniejszy, gdy wszedł do szpitala nasz wielkorządca. Taki był zasepiony i chmurny, że mimowoli zawołałem:

— Co się panu stało?

— Czyż mało mam powodów do zmartwienia? — odrzekł z westchnieniem, a wskazując rannych, mówił dalej — tyle ofiar! nieprzyjacieli zdziesiątkował najdzielniejszych naszych obrońców; na resztę wojska, klęska ta wywarła bardzo niekorzystne wrażenie.

— Ej, przesadzasz pan, jeszcze tak źle nie jest.

— Na nieszczęście, nie przesadzam wcale; na wojnie, widzisz pan, zazwyczaj pierwsza walka stanowi o powodzeniu ostatecznem.

— Niema prawidła bez wyjątku, zresztą nic jeszcze przecież nie zaszło tak ważnego.

— O, doktorze! — mówił Francuz, potrząsając głową — chcesz mnie pocieszyć, ale nie znasz zapewne dokładnie całego ogromu tej klęski.

— Coprawda wiem tylko o tem, co się dzieje w moim szpitalu.

— Otóż to właśnie. Nie pojmujesz pan mojego położenia. Liczyłem najwięcej na ten oddział, chciałem urządzić raz po raz takie wycieczki, niepokoić nieprzyjaciół i powstrzymywać ich w pochodzie. Teraz na pastwę ich wydani jesteście, lada chwila ukażą się pod murami miasta, otoczą je, ścisną w żelaznej obręczy... Wszak słyszałeś pan, że mają i artylerję. Oj! co to za lotry ci Anglicy.

— A wczoraj podejrzewałeś pan, że to Niemcy.

— Nie, nie; przekonałem się, szejka ma słusność, Anglicy niezawodnie pomagają tym niegodziwym Auelimidenom.

— Zkądże ta zmiana przekonania?

— Ba! prosta rzecz, kulki, któremi wczoraj poczęstowano naszych wojowników, mają na sobie stempel angielski. Przyniosłem tu z sobą jeden granat, patrz pan co tu napisano.

— Ach, prawda! — zawołem — napis angielski, zbójcze to cacko wyszło niewątpliwie od zdradzieckich synów Albionu. Ale cóż pan teraz czynić zamýślasz?

— Zamknę bramy miasta, ukryję się, jak ślimak w skorupie i czekać będę dalszych wypadków. Na szczęście mamy obfitość żywności.

— Czekać, czekać... ale na co? Czy przewidujesz pan przynajmniej, jakie będą te dalsze wypadki?

— A któż to może przewidzieć? Na tym świecie wydarzają się rzeczy najrozmaitsze i często spadają na nas niespodziewanie, i klęski, i pomyślności. Fortuna jak to mówią, kołem się toczy, może i tu losy na korzyść naszą się zmieniają. A nuż sułtan Ahmadu nadesłę nam posiłki z Hamd Allahi? Ja wprawdzie nie liczę na to wcale, ale któż to może wiedzieć?

— A jeżeli nie nadesłę?...

— Cóż robić, zdam się na wolę Opatrzności.

— Przyznam się panu — odrzekłem — że jakkolwiek ufam w opiekę Opatrzności, cudu jednak się nie spodziewam.

— No, i ja przecież nie wyobrażałem sobie, ażeby tu miały spaść z nieba porządne armatki dla ułatwienia nam roboty. Ale... nie potrafię panu zdać sprawy z tego uczucia, pomimo wszystkiego, nie tracę nadziei, mam jakieś wewnętrzne przekonanie, że nas Opatrzność wyratuje z tej biedy.

— Zobaczymy.

— Zobaczymy, a tymczasem czynmy wszyscy swoje powinność.

Wielkorządca gwiznął, wierny Barbusza ukazał się na progu.

— Pójdź mi tu przyprowadź Imestana — rzekł Francuz — niech przyjdzie także Itarel — ag — Ida. Pójdź ze mną, kochany doktorze — dodak, zwracając się do mnie — będziesz świadkiem przy przesłuchaniu sprawy.

— Cóż to będzie za sprawa?









### LEKKOMYŚLNI.

— Obrzydła liszko, idź precz odemnie,  
Przyjaźń chcesz z nami zawrzeć, daremnie —  
Mówiły z dumą stubarwne kwiatki.  
Aż gdy się z liszki stał motyl rzadki,  
Od samych kwiatów barwistszy prawie,  
Kwiatki z nim rade były zabawie.  
Lecz on każdego skrzydełkiem drażni,  
Z żadnym nie zawrze stalszój przyjaźni,  
Bo ten, co zdanie zmienia co chwila,  
Nie wart przyjaźni nawet motyla.

M. Z.

### PRZEZ SKOWRONKA.

Daleko, daleko, na krańcu ogromnej łąki, za dużą wsią, stał młyn; u stóp jego bieżał strumień obfity, który wprowadzał w ruch koła młyńskie, a potem długą, krętą wstęgą płynął przez całą łąkę, w świat. Plusk wody rozlegał się dniem i nocą od młyna, bo młynarz dużo miał zawsze roboty. Miejscowość to była bardzo ładna, śliczne drzewa ocieniały strumień, zdawałoby się, że żyć tam powinno być miło, i że mieszkańcy tego uroczego zakątka powinni być szczęśliwi, a przecież Zosia, jedyna córeczka młynarza, wcale szczęśliwą nie była.

— Matuchno — biadała często, czepiając się matki, zawsze zajętej gospodarstwem — mnie tak smutno, ja taka biedna, nie mam nikogo do zabawy; woda wiecznie pluszcze i pluszcze, aż się przykrzy słuchać, a ja nie mam do kogo ust otworzyć.

— Jak ty możesz smucić się, mając tyle kaczątek, kurczątek, gąsiątek, gołąbków, psiaków i kociąt do zabawy? — odpowiadała matka — pomyślnie o nich, żeby każde miało co jeść trzy razy dniem przynajmniej, opiel

i podlej kwiatki w ogródku, a zobaczysz, że nie będziesz miała czasu się smucić.

— E... co mi tam gąsięta, co mi tam koty, kiedy z żadnym pomówić nie można... — szeptała Zosia i smutna odeszła od matki, wyszła z zagrody i szła w pole sama jedna, powoli, nie wiedząc sama po co, byle tylko odejść od młyna i nie słyszeć wody, wiecznie gwarzącej, gdy Zosia nie miała z kim porozmawiać.

— Ani brata, ani siostry, oto dopiero życie... — szeptała sama do siebie ze łzami w oczach.

Nad strumieniem rośło mnóstwo niezapominajek, na całej łące, jak okiem sięgnąć, pełno było kwiatków najrozmaitszych prześlicznych, ale Zosia ani spojrzała na to wszystko, bo kwiatki sprzykrzyły jej się dawno tak samo, jak gołąbki i kocięta. Nie zważała nawet na ptaszka, który siedząc na krzaczku śpiewał prześlicznie, bo i ptaszków, i ich śpiewania miała aż nadto na tej ślicznej łące.

— Aj aj!... nie zbliżaj się, bo ulecil!... — szepnęła w tej chwili cichy głosik; Zosia drgnęła i obejrzała się żywo, śpiewający ptaszek uleciał prosto w obłoki.

— O, uleciał!.. szkoda!.. ale to nic, przecież on wróci, bo ma tu swoje gniazdeczko! — powiedział tenże sam cichy głosik i Zosia spostrzegła dopiero małego, jak ona, chłopczyka, siedzącego na trawie, wpół ukrytego w zaroślach.

— Czy ty tak lubisz ptaki? — spytała zdziwiona.

— Ach, jak lubię! — zawołał — cóż, kiedy dotąd znałem je tylko z obrazków, albo czasem z daleka widziałem przez szybę biedaków uwieczonych w klatce, a to zupełnie co innego.

— Przez szybę? w klatce? z obrazków? I dla czegoż to? — pytała Zosia coraz bardziej zdziwiona.

— Dla tego — odrzekł — że mieszkam w dużym mieście, i że byłem bardzo chory na nogi, widzisz o... i teraz jeszcze chodzę na tych kulach!.. ale już mi trochę jest lepiej; doktorzy kazali, żebym był na wsi przez całe lato i dlatego ojciec umieścił mnie w tej oto wiosce, którą ztąd widać, i teraz jestem zdrowszy. Z początku wcale chodzić nie mogłem, a dzisiaj widzisz, aż tutaj przyszedłem, bo tutaj jest takie prześliczne miejsce nad strumieniem; cóżbym dał za to, żebym tu mógł na zawsze pozostać!

Zosia patrzyła zdumiona na tego biednego chłopczyka, który za najwyższe szczęście uważał to, co dla niej było nudnem i niemilem. Wzruszona jego kalectwem, usiadła koło niego, aby go rozweselić i pocieszyć. Rozmawiali długo i opowiadali sobie wzajem dotychczasowe życie swoje.

— Jaktó! — zawołał zdumiony chłopczyk wśród tej rozmowy — więc tobie tu smutno, choć masz tyle kacząt, gąsiąt, psów, kotów, kwiatków, ptaków, i mieszkaś we młynie, koło którego woda wiecznie pluszcze? Ach! jakież to wszystko musi być prześliczne! jakbym chciał choć raz w życiu to wszystko zobaczyć, i tę wodę pluszczącą usłyszeć!..



— Chciałbyś to pójść ze mną do młyna, moi rodzice bardzo są dobrzy, będą ci radzi serdecznie.

— Ach, gdybym tylko mógł się tam zawlec! — szepnął chłopczyzna i zaczął z wielkim trudem podnosić się, aż wstał i oparł się przy pomocy Zosi na swoich kulach, i poszli zwolna ku młynowi, widocznemu zdaleka. Szli, szli, i już byli blisko, gdy przyszedli do płotu, przegradzającego w tem miejscu łąkę:

— O!... to już przez płot ja nie potrafię przeleźć! — rzekł chłopczyk ze łzami w oczach; dotąd w czasie męczącej wędrówki podtrzymywała go nadzieja ujżenia tych wszystkich cudowności, o jakich mu opowiadała Zosia, a teraz przekonany, że ich nie zobaczy, stracił zupełnie odwagę i siadł na ziemi bezsilny:

— A jakże teraz zdołam do wsi powrócić? — szepnął płacząc. Zosia, która nawykła była chodzić prosto przez płoty, choćby ich dziesięć stało na drodze, nie okrażając nigdy, zakłopotana się mocno, nie wiedząc, co teraz począć z biednym chłopczykiem, ale po chwili namysłu klasnęła w rączki i głośno co siły wołać zaczęła:

— Tatku! tatusiu! tatku! Chory chłopczyk przyszedł młyn zobaczyć i przejść przez płot nie może! Tatku!

— O... znajdzie się na to sposób!... — odpowiedział gruby głos i młynarz wyszedł z głębi sadu, gdzie go bystre oczy córki dostrzegły, zbliżył się do dwojga dzieci, wziął chłopca na ręce, jakby jakiego kurczaka, Zosia wdrapała się na płot i zeskoczyła na przeciwną stronę, jak młody kotek, i poszli wszyscy do młyna:

— Żono! żono! — zawołał młynarz — na maszl... przyniosłem ci gościa, który u ciebie odpocznie i wypije szklankę świeżego mleka, potem obejrzy młyn, bo go nigdy w życiu inaczej nie widział, jak tylko na obrazku, a bardzo jest go ciekawy.

Młynarka przybiegła natychmiast, posadziła gościa w dużym krześle z poręczami, zawołała po imieniu krówkę Białonóżkę, która natychmiast przybiegła z obory i stanęła przed otwartymi drzwiami, a Zosia udoiła mleka i podała chłopczyźnie, matka podała mu duży kawał rumanego, tylko co upieczonego placka. Gość jadł, pił, rozmawiał wesoło, osłabienie i lży przeszły mu zupełnie.

— Więc ty aż z Warszawy jesteś, biedaczku? — mówiła młynarka, gładząc mu jasne włoski. A no, nic dziwnego, żeś taki słabiutki; podobno w Warszawie wysokie są kamienice i bardzo nagromadzone, słońce i powietrze mało tam ma dostępu, niema ani pola, ani lasu, ani bystrzej, czystej jak nasza strugi, tylko mętna Wisła, bo w nią wszystkie męty z całego wielkiego miasta wpadają i wodę zanieczyszczają. Nigdy ja tam nie byłam, ale coś o tem wszystkiem słyszałam, bo mieszkał tam dawniej mój krewny, Adam Bartoszek...

— Adam Bartoszek?... a to mój ojciec tak się nazywa, i ja tak samo się nazywam! — zawołał chory chłopiec. Zdziwili się wszyscy, młynarka zaczęła wypytywać, a potem zawołała:

— Mężu! Janie! słuchaj no, wiesz ty, kogo przyniosłeś?... To jest syn mego krewnego Adama, którego nie widziałam, odkąd się tam w Warszawie ożenił! No, Zosiu, tęskniłaś do siostrzyczki, do braciszka, otóż znalazłaś go sobie na łące, teraz będzie ci weselój, bo my go już do

siebie nie puścimy, przynajmniej dopóki zupełnie nie wyzdrowieje... trzeba zaraz o tem do jego ojca napisać.

Zosia zaczęła na te słowa skakać, jak wróbel na nicy, a mały Adaś, nie mogąc skakać, śmiał się, w ręce klaskał i podskakiwał na krześle. Tymczasem młynarz posłał parobczaka młynarskiego do gospodarza ze wsi sąsiedniej, u którego ojciec Adasia umieścił swego chorego synka; parobczak zawiadomił gospodarza, że Adaś pozostanie u krewnych swoich, młynarzów; a potem młynarzowa napisała do krewnego swego w Warszawie, przypominając mu się i pytając, czy nie chciałby zostać u nich Adasia, coby mu pewno wyszło na zdrowie?

Zamiast przysłać list z odpowiedzią, ojciec Adasia przyjechał sam, aby podziękować krewnym za ich dobroć, a gdy w kilka dni później odjeżdżał napowrót, to Adasia zostawił we młynie, ku wielkiej jego i Zosi radości. Odtąd Adaś był z każdym dniem zdrowszy, Zosia nie smuciła się więcej i nie tęskniła za rodzeństwem, otaczając serdecznymi staraniami nowego braciszka, a oboje przez całe życie kochali niezmiennie ptaszki a szczególnie skowronki za to, że się poznajomili ze sobą „przez skowronka”.

## KASZTANEK.

Kasztanek, młody źrebaczek żywy i swawolny, po całych dniach biegał i wyskakiwał po łące, bo jeszcze za młody był do roboty. Przyszła w końcu jednak pora na Kasztanka, gdy podrośł dostatecznie i sił nabrał, zarzucono na niego uzdeczkę i zaprzęcono do pług obok starego Gniadosza. Potem kazano mu iść powoli, równo po roli, a gdy Kasztanek zaczął wierzgać, wyrwać się, dostał parę razy porządnie batem po grzbiecie i zaczął iść posłusznie i spokojnie, tak jak kazano. Stary Gniadosz zarżał lekko, co w mowie końskiej znaczyło:

— Daj pokój, nie bądź uparty, to się na nic nie przyda, lepiej wyjdiesz na łagodności i posłuszeństwie.

Uśluchał Kasztanek dobrej rady, ale dziwił się niezmiennie, że fornał kazał im chodzić raz po raz wzdłuż pola, a gdy doszli do końca, zawracał i znowu tą samą drogą postępowali w stronę przeciwną. Podczas roboty nie było czasu na rozmowę, lecz gdy wieczorem Kasztanek stanął przy żłobie obok Gniadosza, powiedział do niego:

— Poco ten fornał kazał nam cały dzień tak zabawnie się przechadzać po polu i sam za nami się przechadzał? Jak też ci ludzie są niedorzeczni, żeby i nas i siebie darmo trudzić.

— To ty jesteś niedorzeczny — odpowiedział poważnie Gniadosz — rozprawiasz o tem, czego nie rozumiesz. Czy ci smakuje ten obrok?

— Bardzo smaczny -- odrzekł Kasztanek — lepszy nawet od świeżej trawy.

— A widzisz — mówił Gniadosz — gdybyś jednak nie ciągnął pług, przechadzając się po łące, nie byłoby obroku; pole nie wyorane nie wydałoby owsa, a tybyś potem jeść co nie miał i zimą zginąłbyś z głodu.



— Ach! — zawołał Kasztanek — któżby się tego domyślił.

— Kto nie pracuje, ten niewart jeść — ciągnął dalej stary Gniadosz — ludzie także pracują i dzieci swoje przyzwyczajają do pracy. Są i pomiędzy nimi takie nierozsądne, jak ty, co narzekają na starszych i pytają, poco tego lub owego uczyć się trzeba, poco to się trudzić daremnie? Nie rozumieją, że każdy trud się nagradza, kto pracuje, ten plony zbiera ze swój pracy.

## Wyprawa po skórki,

przez KAZIMIERĘ.

— Z czego to robią trzewiczki? — zapytała pięcioletnia Helenka o rok starszego braciszka.

— Z czego? — powtórzył Julek — to ty nie wiesz, że ze skóry?

— A z czego skóra? — zapytała znów Helenka.

— Skóra? — powtórzył Julek, chcąc zyskać na czasie — skóra... no z konia! — krzyknął nagle, jak po zwyczajem odkryciu.

— Ehę, z konia — rzekła dziewczynka — konie takie czerwone i mają takie włosy, a nasze trzewiczki gładkie i bez włosów.

— Są konie i czarne — mówił zakłopotany Julek, trąc czuprynę — są i czarne, sam widziałem.

— Ale zawsze nie takie, jak nasze trzewiczki — mówiła dziewczynka, kręcąc główką.

— Można skórę z konia oparzyć — rzekł chłopczyk — to włosy wypadną; widziałem, jak Katarzyna raz oparzyła takiego małego prosiaczka, pamiętasz, co to nie chciałaś jeść i kazała ci mama wstać od stołu, pamiętasz?

— A ty pamiętasz, jak stałeś w kącie za to, żeś rzucił chleb na ziemię, bo mówiłeś, że cienko posmarowany, pamiętasz? — rzekła Helenka.

— Ale co tam, ty zawsze musisz być niegrzeczną, mama mówi, że takich rzeczy to rodzeństwo niepowinno sobie przypominać! — mówił Julek z niezadowoleniem.

— Tyś zaczął — usprawiedliwiała się Helenka — ale powiedz no lepiej, z czego skóra? bo że z konia to nie uwierzę, konie zupełnie są inne.

Kłopot Julka był wielki, mimowolnie spojrzał na swoje buciki i musiał przyznać słuszność Helence, gdyż nic a nic nie były podobne do końskiej skóry.

— Wiesz co — rzekł Julek po chwili namysłu — żebyśmy tak mogli gdzie dostać małych kawałków skórek, tobyśmy zaraz się dowiedzieli wszystkiego.

— To prawda — odpowiedziała Helenka — możebyśmy poszli na miasto poszukać gdzie takich kawałków.

— A właśnie teraz iść możemy — rzekł Julek — tatuś poszedł do kancelaryi, mamusia wyszła za sprawunkami, Jadwisia na pensyi, a Katarzyna obiad gotuje.

— No tak, ale co chwila do nas zagląda — rzekła Helenka, wracając odedrzwi — Katarzyna nas nie wypuści.

— E, czy my powiemy Katarzyni! — zawołał Julek

zuchowato — ona tu niedługo zajrzy, a potem, jak drzwi za sobą zamknie, to my zaraz myk — i pójdziemy.

W téj chwili Katarzyna weszła do pokoju.

— A co tu dzieci robią? — zapytała — dobrze, dobrze, widzę, że się grzecznie bawicie, jak mamusia wróci, to powiem, żeście się tu pięknie zachowywali. Posiedźcie teraz spokojniutko, ja na chwilę idę do piwnicy, a jak będziecie grzeczni, dam wam bułeczki z konfiturkami.

Pogłaskawszy dzieci po główce, bo to była stara, przywiązana bardzo do nich nianka dawniejsza, Katarzyna wyszła, oglądając się na nie z miłością.

— Prędko, Helenko, prędko — zawołał Julek. skoro tylko Katarzyna drzwi zamknęła — chodź, bo ona wróci niedługo.

— Kiedy się jakoś boję — rzekła Helenka, ociągając się trochę.

— Nie bój się, cóż to, stanie ci się co złego, jak pójdziesz ze mną? — rzekł Julek — śpieszmy się, dobrze, że Katarzyna poszła, to nie usłyszysz, jak zatrzaśniemy drzwi za sobą.

Helenka już się nie opierała i dzieci wyszły z pokoju, choć otworzenie drzwi przyszło im z trudnością. Katarzyna, wróciwszy z piwnicy, nie mogła zaraz iść do pokoju, bo właśnie rosół zaczął kipieć i musiała go pilnować, a zresztą dzieci tak się grzecznie i cicho sprawały, że nic a nic się nie obawiała o nie. Tak uszło przeszło pół godziny, wtem ktoś zadzwonił.

— Aha, pewnie pani wraca — mruknęła sama do siebie Katarzyna — trzeba iść drzwi otworzyć, bo dzieci nie potrafią.

I pośpieszyła, nie zauważywszy, że dzieci nie było w pokojach, przez które przechodziła. Rzeczywiście była to pani Solska, która powracała z miasta.

— A gdzież to dzieci? — zapytała najpierw, nie widząc ich przy sobie, gdyż zwykle wybiegały do przedpokoju na powitanie.

— Są, są, bardzo tu były grzeczne i spokojne — rzekła Katarzyna — pewnie przez figle schowały się przed mamusią.

P. Solska rozebrała się i zaczęła dzieci szukać po kąciakach, a Katarzyna, śmiejąc się, pomagała jej w tem pilnie. Ale wszelkie poszukiwania były daremne, dzieci znaleźć nie było można, i niepokój ogarnął serce matki.

Wołano, szukano po łózkach, po szafach, jednym słowem przejrano każdy kącik, w którym zaledwie mysz mogłaby się zmieścić, a Julka i Helenki niema, nawet i śladu niema, gdzieby się podziać mogli. Więc mama ubrała się czempredzėj i Katarzyni kazała zejść z sobą, rozpytały stróża i kogo tylko spotkały, nikt dzieci nie widział.

Pani Solska pobiegła w jedną stronę, Katarzyna zapłakana w drugą i spotkała się z panem Solskim, który szedł po coś zapomnianego do domu, i przeraził się niezmiernie, ujrawszy wierną sługę tonącą we łzach.

Gdy dowiedział się o zniknięciu dzieci, nie poszedł już do biura, tylko udał się także na poszukiwanie zaginionych gdzieś tak tajemniczo dzieci, i rozestał kilku posłańców w różne strony, opowiedziawszy, jak wyglądały zbiegi.



W parę godzin potem zeszli się wszyscy w domu, każdy siedł z nadzieją, że dzieci już zastanie, ale okazało się, że wszystkie poszukiwania nie doprowadziły do niczego.

Pan Solski pocieszał rozpaczającą żonę, ale biedna mamusia przypuszczała najokropniejsze niebezpieczeństwa, w jakie dzieci na ulicy popaść mogły.

I znowu udano się na poszukiwania, bo nikt na miejscu pozostać z niepokoju nie mógł, zostawiono tylko Jadwisie, która wróciwszy z pensyi płakała ze zmartwienia nad zniknięciem kochanej siostrzyczki i braciszka.

Tymczasem Helenka, prowadzona za rączkę przez Julka, znalazłszy się na ulicy, zaczęła płakać, bo nigdy sama nie była jeszcze wśród ludzi. Lecz Julek nabrał jakoś odwagi i nachylając się do ucha siostrzyczki, rzekł:

— Cicho bądź, Helenko, bo jak zobaczy stójkowy, to nas zaprowadzi do cyrkułu.

Helenka zlekła się cyrkułu i szła spokojnie za braciszkiem. Przeszli tak kilka ulic, nie przebiegając wcale, lecz skręcając w tę, którą pierwszą spotkali na drodze. Gdzie tylko ujrzeli w oknie wystawę obuwia, szli zaraz na dziedziniec, sądząc, że znajdą tam mnóstwo skórek, po które właśnie się wybrali, sądząc po dziecinnemu, że to ich wszystkiego pouczy; ale wszędzie było czysto, nigdzie nawet najmniejszego kawałka skóry znaleźć nie mogli.

Upłynęło parę godzin, dzieci zmęczyły się bardzo i poczuły głód nieznośny, Helenka znów się rozplakała, a Julek nie miał innej rady, jak postraszyć ją cyrkułem.

(d. n.)

## SZARADA.

(Iskierka z cichego kącika).

Drugie przyimek, pierwsze nazwa rzeki,  
Która przepływa kraj niezby daleki;  
A wszystka, gdy dobra — to służy  
W zimie do śpiesznej podróży.

## ROZWIĄZANIE DO N-ru 30 go.

Łamigłówki kryształowej:

S
B Y K
M A R T A
M A R O K K O
S Y R O K O M L A
S A L O M O N
K O M A R
A L I
A

## Skrzynka do listów.

**Brzózke srebrną z Polesia** upewniamy, że z żalem wielkim zawsze obcinamy zadługie liściki, ale cóż poradzić, gdy miejsca braknie?

**Wielki Wąż** dobrze ułożył łamigłówkę, musi jednak poczekać cierpliwie, bo takich właśnie najwięcej nadchodzi, a nazwisko Kraszewskiego zanadto już często w nich się powtarza. We wszystkim trzeba rozmaitości.

**Biała Ostróżka** powinna sobie przypomnieć, że my zawsze o małe datki prosimy, z takich, byle licznie nadchodziły, składają się sumy znaczne. Ziarno do ziarnka i t. d.

**Konwalijka** ścieszyła nas bardzo liścikiem, sądziliśmy, że o nas zapomniała. Winszujemy każdemu, kto może w tej porze oddychać wiejskiem powietrzem. Straszny ten wypadek pożaru podajemy Konwalijce sposobność do spełnienia dobrego jakiego uczynku. Dzieci tych biednych pogorzalców pewnie potrzebują okrycia. Zagadki umieścimy, ale troszkę później.

**Niezapominajka z nad Niewiaży** ma tyle komedylek w „Wieczorach”, że mogłaby z nich wybrać. Nut nie drukujemy, czasem tylko muzykę do piosenek przy zabawie dla małych dzieci.

**Poziomka kujawska i Owieczka** bardzo miłe i zajmujące pisują liściki, żal nam zawsze, że tak króciutko odpisywać musimy. Podzielamy zdanie Poziomki, owa panienka, która podczas wakacyj ma zwiedzić słynniejsze miejscowości w kraju, jest bardzo szczęśliwa, że może tak przyjemnie i pożytecznie ten czas spędzić. Ale pobyt na wsi, zapoznanie się z gospodarstwem, jest także pożyteczne dla panienek.

**Mucyku z nad Rosi!** Chciałbym bardzo ciebie poznać, bo także mieszkam nad Rosią, nazywam się Zenio, liczba liter twego pseudonimu jest liczbą moich lat. Napisz mi co o sobie, Wielki Wąż.

**Kochana Chmurko Złocista!** Dziękuję ci za liścik. Ja mieszkam na wsi w gubernii mińskiej, mam lat 12, na imię mi Urszula. Będziemy z sobą korespondowały przez „Wieczory”, czy zgoda? Twoja Brzózka srebrna z Polesia.

**Kochana Lilijko z nad Horynki!** Bardzo lubię muszki i dlatego wybrałam sobie taki pseudonim. Co do gospodarstwa, mamy jednakowy gust. Fotografiją przysłę ci wkrótce, a tymczasem o twoję proszę. Kwitnij zdrowo i wesoło, Lilijko droga, życzę ci Muszka z nad Horynia.

**Droga Iskierko z cichego kącika i Amato!** Przepraszam, że wam tak długo nie odpisywałam, ale nie miałam czasu. Domyślam się, że ty, Iskierko, masz na imię Miecia. Wasze Świątko.

**Kochani Pegazie i Niezapominajko Poleska!** Dziękuję wam za pozdrowienie, wybaczenie, że tak długo nie odpisywałam, ale nie mam czasu, bo idę do szkół i gotuję się do egzaminów. Zagnam was, po wakacjach będę prawdziwy Dąb Poleski.

**Kochana Szarżo!** Wiem już teraz, kto jesteś. Przypomnij sobie starą bezzębną pszczelarke, której fotografiją ma Marcia, a która trzy lata temu mieszkała przez miesiąc na jednej z wami pensyi w Warszawie. Otóż ta pszczelarka, moja rodzona siostrzyczka, kazała was pozdrowić. Pisujemy do siebie często, twoja Bułanka.

**Kochana Wajdelotko!** Ponieważ liścik twój nie był ogłoszony, więc teraz napisz co o sobie i czy spędzasz wakacje na wsi. Mnie wesoło schodzą na świeżem powietrzu u Wuja. Odpisz mi, Konwalijka.

## NA KOLONIE LETNIE ZŁOŻYLI:

Kotek z Podola rs. 2. — Siostrzyczka jego Anusia rs. 2. — Jagódka z Podola rs. 2. — Halka z Litwy rs. 1.

Na szpitalik dziecinny: Ciekawianka kop. 50.